

31 AW 31 RUJ
OKUPACJA SOWIECKA WE LWOWIE

(do 13 kwietnia 1940/

ARCHIWUM WSKOCHNIE

Anna Rudzińska
publicyści
praca
z domu (idzie)
pol. odroczenia
praca
Anna Rudzińska ur. Wojciechowska, Bronisław, Jadwiga z Zaleskich,
intelig. praca, ur. 27.X 1919 Piotrków Tryb. zam. przed wojną Lwów,
Borysław, Lwów, uczenica, studentka Szkoły Nauk Polit. w Paryżu
1937-39, matura humanistyczna, I rok Szk. Nauk Polit., harcerstwo,
Straż Przednia.)

Wpisać
Ojciec mój od roku 1921 po wojnie polsko-rosyjskiej pracował cały ten okres w firmie naftowej "Gazolina". Po 1926 roku zaczął działalność polityczną w BBWR, Związku Legionistów, jako poseł na Sejm w latach 1928-1935 z BBWR, następnie w kadencji 1935-1939. W okresie przedwojennym, mniej więcej od roku 1933 był wiceprezesem BBWR na terenach województw południowo-wschodnich, następnie wiceprezesem a w ostatnim okresie prezesem Obozu Zjednoczenia Narodowego na tymże terenie. Był w latach 1933-1939 prezesem Związku Legionistów we Lwowie. Czynnie działał w szczególności jako rzecznik polskiego kapitału w przemyśle naftowym, publikując liczne artykuły na tematy gospodarcze oraz niekiedy wspomnienia z okresu wojny i okolicznościowe artykuły polityczne. Matka pracowała społecznie, poza tym zajmowała się domem i dziećmi, tzn. mną i młodszym bratem moim Bronisławem, ur. 24.X 1921 już we Lwowie.

W miarę jak Polska utrzymywała się gospodarczo i politycznie, rodzinie naszej powodziło się coraz lepiej, a w 1936 r. rodzice moi zakupili parcelę we Lwowie przy ul. Norwida 7 i tam zbudowali dość skromną, jak na poglądy wielu naszych znajomych, pięciopokojową willę. Ja po maturze w gimnazjum im. Królowej Jadwigi w roku 1937 zostałam wysłana przez rodziców do Paryża na studia. Wydawało się mnie osobiście, że życie jest piękne i doskonale ułożone. Polityką nie zajmowałam się, raczej uznając działalność ojca i matki za wystarczającą a ponadto całkowicie zgodną z interesami Polski, która wydawała mi się nie tylko ukochaną ojczyzną, ale również stałym, niezruszonym kamieniem węgielnym naszego bytu.

Właściwie wojna zaczęła się dla nas już 23 sierpnia 1939, kiedy to przyszła wiadomość o zawarciu paktu o nieagresji między Rosją Sowiecką a Niemcami hitlerowskimi. Ja - młoda i niedoświadczona - bardzo pragnęłam się jeszcze ludzić, bo przecież uczono nas przez całe życie, które upłynęło w niepodległej ojczyźnie, że jesteśmy silni, zvarci, gotowi i chociaż przeba będzie ponieść wiele ofiar, musimy zwyciężyć. Ale gdy już 14 września pod Lwów podeszli Niemcy, zaczęłam rozumieć, że musi być bardzo źle. Przecież Lwów jest po wschodniej stronie Rzeczypospolitej - gdyby to były Katowice lub

Poznań, ale aż pod Lwów! A potem przyszedł ten najgorszy chyba z całej wojny dzień - 17 września. Była to niedziela, piękna pogoda, jak zresztą przez cały ten nieszczęsny wrzesień. Wstałam rano, i jak co dziennie pobiegłam do radia, posłuchać, co się dzieje na innych niż Lwów frontach - bo my też już byliśmy na froncie, a Niemcy byli dosłownie o kilkanaście metrów od naszego płotu po drugiej stronie ulicy - i na świecie. Tymczasem przez wszystkie stacje przebijały się straszna, prawie dla mnie niezrozumiałe głosy: "Krasnaja Armia, marszał Woroszyłow" i w kółko to samo, i niezrozumiałe rosyjskie okrzyki. Zwołałam moją Matkę, która znała doskonale język rosyjski i ta przetłumaczyła natychmiast: oni mówią, że Polska przestała istnieć, że rząd uciekł do Rumunii, a Czerwona Armia pod dowództwem Woroszyłowa wkroczyła zwycięsko na nasze wschodnie ziemie, aby uwolnić uciemiężone narody Ukraińców i Białorusinów i połączyć te ziemie z Ukrainą i Białorusią Sowiecką. Mnie się wydało wtedy, że to koniec świata - i istotnie - był to koniec mojego pięknego świata.

W okresie oblężenia Lwowa przez Niemców ojciec, który wyszedł z wojska polskiego w roku 1921 w stopniu rotmistrza kawalerii w 9-tych pułku ułanów, w roku 1939 zaś został mianowany majorem, został zmobilizowany do pracy w sztabie obrony Lwowa i zabrał z sobą mego brata, który jako harcerz był gońcem w tym sztabie. Oczywiście 17 września Ojca i brata nie było w domu. Pamiętam tylko, jak w dniu 22 września, w dniu wkroczenia Rosjan do Lwowa, ojciec wrócił do domu i ze zszarzałą od rozpaczy twarzą zdjął mundur, z którym nie wiem, co się stało.

Wszyscy byliśmy zrozpaczeni i kompletnie zdezorientowani, wydawało się jednak, że Ojciec nie powinien przebywać w domu, wobec czego przeniósł się na noclegi do swojego miejsca pracy w firmie "Gazolina" na ul. Leona Sapiehy 3. Było to wyjątkowo szczęśliwe dla nas wszystkich.

Mimo poddania Lwowa i prawie całego terytorium Polskim Niemcom i Rosjanom, bronika się jeszcze do 27 września Warszawa, do 30 września Hel i Modlin, zaś ostatnia bitwa rozegrała się pod Kockiem 7 października. Przez triumfalne głosy sowieckich radiostacji, sławiących bohaterstwo Czerwonej Armii przebijały się czasami polskie głosy, przede wszystkim tragiczny, zachrypnięty głos prezydenta Warszawy Starzyńskiego, który w końcu powiedział, że z braku wody, prądu, gazu i wielkich trudności z wyżywieniem mieszkańców Warszawy, stolica musi się poddać. Tak się kończyła nasza niepodległość.

Rosjanie po wkroczeniu do Lwowa byli witani niezwykle radośnie przez miejscowych Ukraińców oraz wielką część Żydów, szczególnie mło-

dych, którzy w owym czasie byli w większości zwolennikami komunizmu. Okropne było dla nas i jakoś niezrozumiałe, że tak strasznie cieszą się z upadku Polski. Rozumieliśmy, że nie muszą się z tego powodu martwić, tak jak my, ale cieszyć się i kopać pokonanych? Ukraińcy już wkrótce zaczęli się rozczarowywać do "wyzwolicieli", gdyż ~~pie~~ nowa sytuacja nie zaspakajała ich nacjonalistycznych dążeń do samodzielnej Ukrainy, do której było dalej niż za czasów polskich, mimo hucznych deklaracji nowej władzy. Nie ^{ma}mniej na ~~początku~~ władza ta miała wiele pożytku z miejscowych zwolenników. Zarówno Ukraińcy, jak i Żydzi dysponowali doskonałą znajomością miejscowej sytuacji politycznej i to ułatwiło przygotowanie list aresztowanych wkrótce polskich działaczy społecznych i politycznych tego terenu.

O ile moje informacje z tego okresu są ścisłe, Ojca mego przyszli Rosjanie aresztować ^{pierwszego}. Było to 22 września. Zjawili się przed południem w naszym domu ^{3 NKWD} dystów pytających o Ojca. Powiedzieliśmy, że jest w pracy. Na szczęście, ponieważ ulice Lwowa były jeszcze rozkopane i zabarykadowane, i Rosjanie musieli chodzić piechotą, brat mój znający lepiej miasto pobiegł zawiadomić Ojca i razem poszli do znajdującego się naprzeciwko siedziby "Gazoliny" kościółka Marii Magdaleny. Z drzwi kościoła zobaczyli po kilkunastu minutach Rosjan wchodzących do firmy.

Trzeba tu zaznaczyć, że Ojciec początkowo nie chciał ani się ukrywać, ani uciekać, powtarzając, że pracował uczciwie dla swojej ojczyzny i nikt nie może mieć mu tego za złe. Niestety, nie był to pogląd nowej władzy. W tej sytuacji Ojciec zdecydował się przedostać na Węgry, aby móc dalej walczyć w tej wojnie, która na Zachodzie dopiero się przecież rozpozynała. ^{Działano w tym czasie podziemnie, do wojny, w celu wywołania powstania, nie miało ono wewnątrz żadnego kaduciego, do którego należeliśmy. Był to jeden z wielu takich podziemnych} Były w owym czasie jeszcze możliwości porozumienia się z przyjacielami z różnych okolic i dzięki temu 24 września przyjechał po Ojca syn naczelnego Dyrektora naszej firmy, pracujący w okolicy Stryja, Zbigniew Wieleżyński.

Obecnie przedstawię historię ucieczki Ojca, by potem wrócić do naszych spraw we Lwowie.

Do Stryja dojechali ze Zbyszkim bez trudności, albowiem Zbyszek umocował na samochodzie czerwoną chorągiewkę i gnał 100 km na godzinę, nie zwalniając przed żadnymi kontrolami. Nocowali w gazowni należącej do "Gazoliny". W nocy, jak się okazało, z donosu jednego z pracowników, cały teren został przeszukany. Tylko dzięki niezwykłemu przypadkowi Ojciec uniknął aresztowania. Nocował mianowicie w małym pokoiku, do którego wchodziło się z sąsiedniego pokoju. Otóż drzwi z korytarza do tego pierwszego pokoju, dopóki były otwarte, zasłaniały całkowicie wejście do drugiego i rewidujący do niego w ogóle nie weszli.

Rano Ojciec odjechał natychmiast do Borysławia, gdzie zatrzymał się u naszych kuzynów Girzejewskich. Janusz G. zorganizował od ręki przerzut przez granicę, Przejście tego podjął się były Legionista, chłop ze wsi Majdan, leżącej w głębi Bieszczadów. Tymczasem w górach spadły niepodziewanie wielkie śniegi i marsz przez bezdroża był niezwykle ciężki. W nocy napadła na nich banda dezertersów; przewodnik uciekł, Ojciec stracił część swoich rzeczy. Z trudem, umęczony śmiertelnie i nadal zrozpaczony dotarł następnego dnia pod wieczór do małego miasteczka Smarze, położonego ok. parę km od granicy.*

Zaraz na skraju osady natknął się na starego brodatego Żyda, który zwrócił się do niego w te słowa: "Niech pan oficer nie idzie w tą stronę, bo tam stoi posterunek czerwonej milicji, gdzie już wielu takich złapali, a niektórych na miejscu zastrzelili". "Dlaczego pan uważa, że ja jestem oficerem - zapytał Ojciec. "Nu, ja na pewno nie wiem - odpowiedział Żyd - ale jak ja na pana spojrział, to sobie pomyślał, że pan jest pewnie pułkownik, co najmniej major, a może nawet generał. I gdyby pan się jeszcze tydzień nie golił i chodził w cywilu, to tam na posterunku też poznają, że pan jest oficer.*

Jeśli mi pan tak dobrze radzi - powiedział Ojciec - to niech pan powie, co mam teraz robić? Żyd po chwili wahania powiedział: "Przez granicę to pan teraz nie przejdzie, bo już ją gęsto obstawili, a do tego śnieg tam leży e ślady są widoczne. Nu, niech pan zajdzie do mnie. - I poprowadził go do swego domu.

Był piątek wieczór i właśnie zaczynał się szabas; cała rodzina zasiadła przy świecach do modłów, najpierw jednak Ojca nakarmiono, położono do łóżka i nakryto pierzyną. Początkowo czuł się trochę nieswoj, bo już rozeszły się pogłoski, że Żydzi sprzyjają bolszewikom i denuncjują Polaków; doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak zaufać gospodarzowi i spokojnie zasnął. Na drugi dzień odbyła się narada z udziałem zięcia gospodarza, woźnicy. Postanowiono, że ten zięć przewiezie Ojca swoją furą pod sianem do Skolego. Tak też się stało. Na posterunku żołnierze pogadali chwilę z woźnicą i przepuścili furmankę nie rewidując jej. W Skolem Ojciec zatrzymał się u rodziny urzędnika "Gazoliny", Probstów i dał znać Matce, w jakiej jest sytuacji, aby do niego przyjechała.

Matka pojechała do Skolego 14 października, projektując przejście przez granicę w miejscowości Sławsko, gdzie przyjaciele z "Gazoliny" pp. Kowalczewscy mieli domek letniskowy, i tam ewentualnie się zatrzymać. W Sławsku jednak również cała granica była już szczelnie obstawiona, a złapanych mężczyzn straża sowieckie przeważnie na miejscu zabijały. Trzeba było wracać do Lwowa.

Na dworcu w Sławsku rodzice z niepokojem oczekiwali nadejścia pociągu z sąsiedniej, granicznej stacji Łwoczone. Na peronie kręciła się czerwona milicja, którzy zaczęli legitymować Ojca. Milicja była złożona z miejscowych Ukraińców. Ojca postanowili oni zatrzymać, proponując Matce, aby sama wracała do Lwowa, na co powiedziała, że nigdzie się bez męża nie ruszy. W tym momencie jakiś człowiek, od pewnej chwili przypatrujący się pilnie Ojcu podezwał do komendanta Milicji i zaczął mu coś szeptać; komendant zwrócił się do ^{rodziców} ~~nią~~ w porządku, może jechać."

Do przedziału rodziców po chwili ku ich przerażeniu wszedł ten sam osobnik. Matka zaczęła opowiadać, że ~~rodzice~~ są uciekinierami z Królestwa i chcemy jak najszybciej wrócić do domu. Tymczasem towarzyszący podróży odezwał się na to. "Po co pani opowiada, że jesteście z Królestwa; a kto ma wilię we Lwowie, przy ulicy Cypriana Norwida pod numerem siódmym?". Matka zmartwiała, a osobnik zwrócił się do Ojca: "Noż i cóż, panie pośle, jakoś to inaczej wyszło, niż pan nam na wiecach opowiadał?". Okazało się, że towarzyszący podróży rodziców jest Ukraińcem ze Lwowa, a ostatnio był kierownikiem robót na ulicy 29 listopada, tuż koło naszego domu i dobrze znał Ojca z widzenia. Przedstawił się jako Borys i jako nacjonalista ukraiński. Posterunek w Sławsku był opanowany właśnie przez ukraińskich nacjonalistów, a komendantem był brat Borysa i dzielił temu po zastanowieniu się doszli do wniosku, aby Ojca puścić. "Nie czas w obecnej chwili łączyć dawne porachunki, dlatego nie przekazaliśmy pana władzom radzieckim. Radzę jednak jak najszybciej wyjechać z tego terenu" - oświadczył Borys.

Aby nie narażać się na kontrole na dworcu głównym we Lwowie rodzice wysiedli w Sknikowie, skąd było do naszego domu około 4 km. We Lwowie trzeba ^{było} jeszcze znaleźć miejsce zamieszkania dla Ojca, gdyż oczywiście nie mógł wrócić do domu. Na szczęście w pobliżu nas mieszkał brat Janusza Girzejewskiego, z którym nie mieliśmy dotychczas specjalnie bliskich kontaktów, ale ~~który~~ bez wahania zgodził się udzielić Ojcu schronienia. Spędził tam około 2 tygodni. Po koniec października Ojciec zdecydował się po jeszcze jednej nieudanej próbie ucieczki do Rumunii ~~przejść~~ przejść na stronę niemiecką. Pojechał do Przemyśla, gdzie na przejściu przez granicę czekały dziesiątki tysięcy uchodźców wojennych, i 1 listopada przeszedł szczęśliwie przez most na Sanie, bez żadnej kontroli.

W tym okresie były w naszym domu kilkakrotne rewizje. Pewnej nocy przyszli tłumnie NKWDyści i kilku z nich zaczęło biegać po domu, szukając gwałtownie kasy pancерnej na pieniądze, gdyż byli-

co to mamy?

śmy traktowani jako "kapitaliści", a kapitaliści mieli przecież masy pieniędzy i chowali je w kasach pancernych. U nas nie było żadnej kasy, biżuterii jakims cudem nie zabrano, natomiast zabrali wszystkie ordery Ojca, z których najbardziej nam było żal orderu Virtuti Militari, który Ojciec otrzymał w r. 1920 po bitwie pod Komarowem w kampanii bolszewickiej. Był w tym pudełku również bardzo piękny i cenny ~~finansowo~~ order "Corona d'Italia" ^{z 1920 r.} otrzymany przez Ojca od Włochów w r. 1936.

dobrze

W tym okresie byli również ludzie, którzy przechodzili przez granicę, aby uciekać dalej na południe, a niektórzy kursowali nawet tam i z powrotem. Dzięki temu otrzymywaliśmy wiadomości od Ojca. Przywiózł je na początku pułkownik Sosabowski. Przebywał u nas parę dni ale udało mu się przejść granicę i później walczył na Zachodzie.

Od połowy września dom nasz był pełen uchodźców z zachodu Polski, którzy uciekali przed Niemcami, a teraz usiłowali wrócić do domu. W listopadzie wyjechali nasi kuzyni Fijałkowsy i dawna działaczka PPS Frakcji Rewolucyjnej, a wielka przyjaciółka rodziców, p. Zofia Praussowa, /zginęła w Oświęcimiu 18 stycznia 1945 r./, również kilka osób, które przewinęły się tylko przez nasz dom i albo wróciły do siebie, albo jak kuzyni nasi Piaskowsy urzędzili się gdzieś indziej. Ponieważ od razu było wiadomo, że całego domu nie utrzymamy, szukałyśmy lokatorów. Najpierw zamieszkały u nas panie Dłuskie, których mieszkanie na roku ul. 29 Listopada i Grochowskiej zostało zniszczone przez pocisk artyleryjski. Zaraz też zakwaterowano u nas rodzinę rosyjskiego lejtnanta Seniukowa, do którego przyjechała żona i 9 grudnia urodziła córeczkę. Ponadto w sypialni rodziców zamieszkały trzy panie Kalitowe. Jedna z nich po wojnie podobno wyszła za mąż za rosyjskiego lekarza w stopniu generała i mieszkali nadal w naszym domu.

Od początku okupacji rosyjskiej we Lwowie zaczęło się robić bardzo ciężko pod względem żywnościowym. Oczywiście nie było żadnego głodu, bo przed wojną wszyscy robili możliwie jak największe zapasy, ale Lwów pełen był uchodźców nie posiadających, którzy przecież potrzebowali jedzenia, nie mówiąc o innych rzeczach. Pamiętam, że nasza kuzynka Stasia Piaskowska, która chciała prowadzić jakieś odrębne

od nas gospodarstwo, gdyż mąż jej Marek stosunkowo prędko jako technik znalazł jakąś pracę, nie mogła już w październiku kupić żadnych garnków, dostała tylko spluwaczki emaliowane, które zresztą świetnie jako garnki służyły. W naszym domu kuchnia była to płyta podgrzewana od spodu gazem, w związku z czym w każdym miejscu była jednakowo gorąca, a nigdzie nie było płomienia, któryby przepalał garnki. Tak samo gotowała u nas Żenia Seniukowa, która bardzo zaprzyjaźniła się z moją Matką. Żenia była Ukrainką, która przeżyła jedna z całej wielkiej 14-osobowej rodziny głód na Ukrainie w latach trzydziestych i opowiadała o tym Matce, jak również o wywożeniu i od nich ludzi na Sybir. Wczesna i bardzo ciężka zima spowodowała, że we Lwowie, w którym nie było opału, nasz dom, ogrzewany centralnym ogrzewaniem na gaz ziemny był wspaniałym schronieniem dla bardzo wielu uchodźców, którzy przychodzili choćby parę razy w tygodniu.

Przez ostatnie dni września i pierwsze października przewinęło się przez nasz dom również kilku przyjaciół Ojca, ^{np. Stefan Golachowski} oficerów, którzy przebierali się u nas w cywilne ubrania i szli dalej walczyć na Zachód. We Lwowie został natomiast przyjaciel Ojca z wojny 1920 roku, pułkownik, ^{2-ty} dowódca 19 p.uł. z Ostroga nad Horyniem, Władysław Kotarski. Przeszedł do nas plechotą po bitwie w lasach Janowskich, zrozpaczony, zmordowany, z pokaleczonymi nogami, gdyż szedł kilkadziesiąt km w butach kawaleryjskich. Został on we Lwowie, aby prowadzić dalej walkę konspiracyjną. Zamieszkał u urzędnika "Gazoliny", p. Stareckiego, a Matka moja służyła mu za łączniczkę. Płk Kotarski działał we Lwowie w ZWZ /pseudonimy "Druh", "Nadolny"/. Do kwietnia 1940 r. był komendantem okręgu Lwów-Wschód, a następnie komendantem całego obszaru na 3 województwa południowo-wschodnie. Został aresztowany pod koniec kwietnia 1940 r. O dalszych jego losach nic nie wiadomo, ale podobno został zaraz zamordowany we Lwowie.

Pamiętam również przebranego w ubrania Ojca płk. Golachowskiego, który nawet zostawił mojej Matce jakieś pieniądze do doręczenia jego

żonie, co też udało się jej wykonać. Pisała też w imieniu męża do p. Kotarskiej, która została w Ostrogu z małą córeczką Elżbietą. W kwietniu 1940 r. wywieziono je do Romji, gdzie p. Kotarska zmarła, a jej córka Elżbieta po latach, już z Londynu, powróciła do Polski.

Bardzo interesującą osobą była żona siostrzeńca p. Praussowej, Maria Reymanowa. Komunistka, członkini ~~partii~~ rozwiązanej KPP, była ~~nieraz~~ zwolniona z pracy i miała jakieś kłopoty przed wojną. Mój Ojciec interweniował w jej sprawie, co przyniosło dobry skutek i p. Maryla wróciła do pracy. Uciekła do Lwowa, bo jako Żydówka nie mogła zostać po stronie niemieckiej. Tu dostała od razu pracę i mieszkanie, ale chyba tak jak my rozpaczła po upadku Polski, bo niezwykle dużo pomagała nam i nie tylko nam, informując o różnych sprawach, o których miała możliwość dowiedzieć się dzięki swojej dawnej przynależności. Uprzedziła nas mianowicie, że ma być aresztowany dyrektor Ubezpieczalni p. Świdorski i prosiła, żeby go uprzedzić. Matka moja natychmiast pobiegła z tym do niego, ale niestety nie uwierzył i tej samej nocy został aresztowany i ślad po nim zaginął.

Matka była bardzo niespokojna także o nasze dalsze losy. Mnie zaraz zatrudniono w "Gazolinie", gdzie uczyłam się pisać na maszynie ale zwolniono mnie przy kontroli ^aprywcowników już w styczniu 1940 r. "Gazolina" była przedsiębiorstwem zupełnie nietypowym dla państwa kapitalistycznego i niezmiernie ^{to}gniewało nowych władców. Mianowicie wszyscy pracownicy byli akcjonariuszami spółki i sprawowali ^zrzeczywistą kontrolę nad działalnością swego przedsiębiorstwa. To też wcale nie kwapili się do wyrzucenia dyrekcji i swoich inżynierów. Był tylko jeden robotnik, Spodarczuk, który wraz z nowym rosyjskim komisarzem przyszedł urzędować w biurze "Gazoliny", ale szybko został przez nową władzę przesłany z powrotem na dawne miejsce pracy. Natomiast poprzedni zarząd usiłował utrzymać choćby formę dawnego przedsiębiorstwa, jako spółdzielni, ale było to niemożliwe. "Gazolina" została przemianowana na "Ukrgaz", dyrektor naczelny, inżynier

Marian Wieleżyński, początkowo w ogóle usunięty z pracy. Inni członkowie zarządu, znakomity wynalazca inżynier Bruno Szymański i świetny handlowiec Szczepan Tarnowski zostali wkrótce aresztowani. Aresztowanie p. Szymańskiego świadczyło o kompletnym braku rozeznania w różnych zarówno drobnych, jak i wielkich sprawach. Oto NKWDyści, którzy przyszli go aresztować do jego willi (mieszkał niedaleko od nas) zafrapowani byli przede wszystkim donofonem, który rzeczywiście wtedy był jeszcze mało znany. Biegali z góry na dół, dzwoniąc i mówiąc do siebie przez ^{tk}krakki głośniczka. W końcu orzekli, że to jest wynalazek "Szpiona". Mimo wyjątkowych zdolności w pracy w przemyśle naftowym p. Szymański nie wyszedł już z więzienia. P. Tarnowski, wywieziony do Rosji, gdzie spędził w więzieniu cały okres do lipca 1941 r. /wspomina o nim gen. Klemens Rudnicki, który jakiś czas siedział z nim w jednej celi/, dostał się z wojskiem Andersa do Teheranu, jednak tam umarł na tyfus. Rodzinę p. Tarnowskiego, żonę i dwóch małych synków, wysiedlono 13 kwietnia 1940 r. Z "Gazoliny" w Borysławiu wywieziono świetnego również fachowca, inż. Ignacego Piątkiewicza, rodzina jego również znalazła się w Kazachstanie, zaś po nim ślad zaginął.

Inżynier Wieleżyński ratunek dla siebie i swojej rodziny zawdzięczał bardzo dawnym czasom. Mianowicie w latach 1905-1907 był działaczem PPS w Borysławiu i ratował uciskinierów z Królestwa, gdy zakamalała się tam rewolucja 1905 roku. Wśród jego podopiecznych znalazł się również Felik^S/Kon, późniejszy członek rządu komunistycznego, oczekującego w Białymstoku na upadek Warszawy w sierpniu 1920 roku. ~~×~~ Później, mimo licznych czystek ^{KON}utrzymał^{at} się w Moskwie, jako archiwista partii. Jego córka, Helena Usijewicz, Członek KC KPZR, na polecenie ojca przyjechała do Lwowa i z wyżyn swego stanowiska wyjaśniła ^{0m}członkom władzy we Lwowie, że p. Wieleżyński ma być pozostawiony wraz z rodziną na miejscu i traktowany z należyтым szacunkiem. Odwiedziła nawet pp. Wieleżyńskich i zapewniła ich, że nic im nie grozi. Istotnie po paru dniach

do willi pp. Wieleżyńskich na ul. Grochowskiej 12 zajechała czarna limuzyna z trzema wysokimi urzędnikami sowieckimi, którzy zapewnili p. Wieleżyńskiego o swoim szacunku i zaproponowali mu, aby wrócił do pracy w laboratorium "Ukrgazu", jako wybitny specjalista. O ile wiem, p. W. z tej propozycji nie skorzystał.

Niestety, nikomu innemu oczywiście nic to nie pomogło. Mogliśmy się tylko czasem schronić w ciepłej i spokojnej stosunkowo atmosferze domu naszych przyjaciół na Grochowskiej.

Brat mój pragnął po maturze studiować chemię i w tym celu zgłosił się na Politechnikę. Zdał znakomicie egzamin i został przyjęty. Po kilku jednak dniach przeprowadzono weryfikację i nowe egzaminy. I tym razem zdał znakomicie i został przyjęty. Rozpoczął już nawet studia i po latach mówił mi, że był bardzo szczęśliwy, siedząc w laboratorium chemicznym i ucząc się tego działu, niestety, nie trwało to długo. Przyszła następna weryfikacja i brata, jako syna "liszeńca" usunięto bez prawa studiowania. Moja Matka, znająca dobrze rosyjski, poszła do komisarza Politechniki upominać się o syna, ale ten powiedział jej, że dla syna "liszeńca" miejsca teraz nie ma, ale może w przyszłym roku będzie mógł studiować. Dodał, że przed wojną pewnie wielu było takich, którzy nie mogliby studiować z różnych względów, więc brat, który jest młody /zaledwie skończył 18 lat/ może spokojnie poczekać. Pamiętam, że ku mojemu oburzeniu, Matka była nawet skłonna z tym argumentem się zgodzić, ale o los syna nie przestała się zamartwiać jak zresztą i o mnie.

Dopóki pracowałam w "Gazolinie" wydawało się, że jakoś uda się nam przetrwać. Zdarzały się nawet epizody wręcz komiczne. Jeden z nowo nastających inżynierów, Rosjanin, upatrzył sobie mieszkanie w naszej willi, ale też zaproponował, że się ze mną ożeni, to jakoś tak będzie wygodniej. Od razu mieszkanie i żona. Nasze argumenty, że ja mam już narzeczonego i wcale nie zamierzam wyjść za mąż za kogoś innego, nie robiły na niego wrażenia. A gdy dowiedział się, że tem narzeczonego jest

3
4
w Wilnie, z całym przekonaniem zapewniał nas, że ^{nie}napewno się już nie zobaczymy, bo przecież ze Związku Radz. ^{nie}napewno nigdy nie wyjedziemy.

Nasz dom był ciepły, Matka moja otrzymała stanowisko ^{funkcji}dozorcy. I rozpeczsto u nas przeprowadzać stałe uświadamiające pogadanki o sytuacji politycznej i różnych sprawach. Szykowano się przecież - po referendum o przyłączeniu Zachodniej Ukrainy do Związku Radzieckiego - do wyborów uzupełniających do Rady Najwyższej ZSRR. Pamiętam, że ze Lwowa kandydowała m.in. Wanda Wasilewska. Nasz agitator, który przychodził co najmniej dwa razy w tygodniu, wygadywał mnóstwo bzdur, co jednak wcale go nie peszyło. Pewnego razu tłumaczył nam, że przed wojną kobiety w Polsce nie miały prawa głosowania. Wszyscy obecni oburzyli się na to i stwierdzili, że wręcz przeciwnie, miały wszelkie prawa. "No, to nie mają w Japonii" - spokojnie stwierdził agitator. Gorsze jednak do zniesienia było jego absolutne przekonanie, ^{umawiane}nam stale, że Polski już nigdy nie będzie i być nie może. Pamiętam, że Matka moja, która świetnie mówiła po rosyjsku, kłóciła się z nim nie bojąc się wcale, że przecież może być np. Polska komunistyczna, 17-ta republika ZSRR czy coś podobnego. "O nie, - odpowiadał z głębokim przekonaniem - Polszy nie budiet, Polszy nawietno nie budiet". Ludzie ogromnie się bali Rosjan, Polacy bali się Ukraińców i Żydów, i ^{na}net mało narzekano w ogromnych ^wkolejkach po chleb i niekiedy jakieś inne jedzenie. Pamiętam tylko, jak jakiś pan, doprowadzony do rozparzy zaczął wykrzykiwać: "Oni myślą, że nas tu wygłodzą, a my mamy w piwnicach kartofle i kapustę, to przeczekamy i doczekamy wiosny". Nie zdawał sobie sprawy, biedak, że i tej piwnicy może w każdej chwili już nie mieć.

W listopadzie przeszedł przez zieloną granicę do nas brat męza mojej ciotecznej siostry, Witold Grygiel, który przyniósł wiadomości od Ojca i całej rodziny. Ojciec był ^{na}razie u stryja Czesława w Łodzi ale niebawem Łódź została włączona do Reichu i wszyscy musieli stamtąd się wynieść. Witek przeszedł szczęśliwie z powrotem jeszcze dwukrot-

39 roku

nie, był u nas w strasznie smutne święta Bożego Narodzenia, a za trzecim razem zabrał mego brata, o którego okropnie martwiłyśmy się, gdyż ani nauki ani pracy dla niego nie było i groziło mu powołanie do wojska, co byłoby już dla nas straszliwą klęską. Witek z Bronkiem wyszli do granicy 23 stycznia 1940 r. i była to ostatnia jeszcze właściwie możliwość przejścia. Zostali złapani przez patrol rosyjski na granicy, ale ponieważ twierdzili, że przyszli od strony niemieckiej, patrol ten, zresztą ^{po} pichu, przerzucił ich "za powrotem" przez granicę do Niemców. Jednak trzy dni spędzili w tymczasowym areszcie, gdzie oczywiście nie było żadnego ogrzewania. Na szczęście właśnie ^{na} ~~z~~ ^{tych} ~~tych~~ ^{tych} trzech dniach mróz był trochę mniejszy. Uprzednio od 8 grudnia stale trzymał się poniżej 20 do 30 stopni, a tych dniach temperatura wynosiła zaledwie 8 - 10 stopni poniżej zera. Witek i Broniek mieli ze sobą znaczne sumy pieniędzy, zapieczone w chlebie i bułkach, przeznaczone dla rodzin w Warszawie. Większą część pieniędzy jednak Witek miał w plecaku i te mu zabrano. Natomiast chleba nie mogli jeść, co dziwiło współwięźniów, tak, że nawet okrawali z boku jego skórki, ale jakoś szczęśliwie przetrzymali i tę trudność.

Po ucieczce mego brata został wolny jeden pokój i zaraz zakwaterował się u nas obrzydliwy oficer NKWDysta, który pilnował nas z Matką, tak że nawet trudno było słuchać radia. Zresztą audycje polskie z zagranicy już wtedy były zagłuszane, natomiast ja słuchałam stale radia po francusku, Matka po rosyjsku.

Chciałabym jeszcze opisać "głosowanie" za przyłączeniem Zachodniej Ukrainy do ZSRR, które odbyło się w Lwowie 24 października 1939 r. Poprzedzała je zupełnie aszalona propeganda. Wszyscy musieli głosować, co polegało oczywiście tylko na wrzuceniu do urny kartki z odpowiedzią pozytywną. Całe dni przed głosowaniem po mieście jeździły ozdobione czerwonymi flagami i transparentami

Wspomnienia, wykładowane przeważnie żydowską młodzieżą, śpiewającą pieśni rewolucyjne, łączące Polskę i Półaków, skłaniając Związek Radziecki i jego dobrodziejstwa, które spłynęły na Zachodnią Ukrainę. Uparłam się ~~nie~~ i postanowiłam nie głosować. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, bo przecież nawet po bardzo chorych przyjeżdżały specjalnie samochody i ciągle kontrolowane, czy już wszyscy z domu byli w lokalu wyborczym. W każdym razie ja za przyłączeniem Lwowa do Rosji nie głosowałam, czym się też mogł^e i poszczycić. Wkrótce po tej imprezie przypadała 21 rocznica naszej niepodległości, 11 listopada. Było to okropnie smutne. Pracowałam jeszcze wtedy w "Gazolinie", miałam maszynę do pisania i napisałam kilkanaście ulotek "Polska żyje", które z wielkim co prawda strachem rozrzuciłam w tramwajach.

/Wspomnienie z pierwszych dni okupacji, gdy jeździłam do Ojca do Borysławia, żeby mu zawieźć jakieś potrzebne rzeczy. Otóż gdy wracałam pociągami przez Drohobycz, razem ze mną w przedziale siedziała młoda, wesoła i bardzo wygadana Żydówka, która z upojeniem wręcz opowiadała, jak bardzo kulturalni są sowieccy żołnierze. - Każdy ma, proszę was, po trzy zegarki na rękę, i to dobre zegarki, szwajcarskie, ja się na tym znam, bo mój ojciec jest zegarmistrzem - Miałam ochotę babę zamordować, gdyż jedną z pierwszych rzeczy rabowanych na naszych terenach ~~by~~ przez sowieckich żołnierzy były właśnie zegarki, a najbardziej znanym powiedzeniem "Dawaj czas". Moja towarzyszka podróży była taką entuzjastką nowych władców, że nie zdawała sobie chyba sprawy z idiotyzmu swoich zachwyłów. - Nie ona jedna zresztą/.

Kuzyn nasz Marek Piaskowski dostał pracę przy budowie bocznic kolejowej do jakiejś przetwórni gazu ziemnego i opowiadał nam, jak się odbywa wykonywanie planu. Oto, ponieważ bocznicą nie była jeszcze gotowa, a gaz przychodził i trzeba było coś z nim zrobić, żeby zaliczyć wykonanie planu, na niewykończonej bocznicie wypuszczano go po prostu w powietrze. Już w styczniu pojawiły się pierwsze rozaczrowania. Od razu w listopadzie grupy młodych, szczególnie bezrobotnych

Żydów, zachęcanych pięknie brzmiącą propagandą, wyjechało do kopalni w Donbasie do pracy. Niektórym udało się wkrótce wrócić, a jedną historię opowiadano dość szeroko. Otóż pewien wyjeżdżający umówił się ze swoim przyjacielem, że napisze do niego, jak tam jest naprawdę, ale jeśli będzie odwrotnie niż pisze - bo już wtedy wiadano o cenzurze - napisze czerwonym atramentem. Otóż przyszedł od niego list, pełen zachwytu, jak to wszystko jest w tym Donbasie i jak mu jest dobrze - tylko w post scriptum^{my} było: * „ale wyobraź sobie, nie mogłem tylko nigdzie dostać czerwonego atramentu”.

Nie miałam wiele do czynienia w tym okresie ze szkołami, gdzie też zaprowadzano nowe porządki. Opowiadano nam tylko historyjkę z przedszkola. Dzieci spragnione były cukierków, o które było już bardzo trudno. Nauczycielka zaproponowała im - módlcie się do Boga, czy ześle wam cukierki. Dzieci wołały - Boże, ześlij cukierki. Nic się nie zdarzyło. Wołajcie więc - mówi nauczycielka - Stałynie, daj cukierki. I cukierki spadły w wyciągnięte rączki.

Na razie było straszno, smutno, zimno, ale to wszystko były represje indywidualne, wśród ludzi jakoś znaczących, zresztą nie tylko Polaków. Aresztowany został np. czołowy działacz nacjonalistyczny ukraiński, dr Pańczyszyn. Ale w lutym przyszły tragiczne wiadomości o wywożeniu całych wsi na Sybir. O Kazachstanie usłyszeliśmy dopiero wtedy, gdy zaczęły nadchodzić pierwsze listy. Wywożono bardzo wielu ludzi, a że zima była bardzo ostra i wielki mróz⁷, w towarowych wagonach marzły i marły masowo wywożone dzieci. Ze wschodnich terenów Peczypospolitej wywieziono już wtedy ok. 200.000 ludzi. Była to pierwsza wielka fala masowych wywozek, które później stały się chlebem powszednim wszystkich Polaków, a nawet niekiedy Ukraińców i Żydów z tych okolic.

Mimo, że ukraińscy nacjonałiści byli już nieco zawiedzeni nowymi panami, oni tu jednak rządzą. Miasto było ukrainizowane. Ulice przechrzono², język ukraiński był wprowadzany wszędzie. Można jednak było mówić po polsku, wychodziła polska gazeta "Czerwony Sztandar";

funkcjonował jakiś związek pisarzy polskich z Putramentem na czele, w naszym środowisku uważany za związek zdrajców i przekupionych.

4
5
W "Czerwonym Sztandarze" pojawił się wówczas wiersz podobno Miłosza, który miał absolutnie odrębną treść, gdy się go czytało od góry do dołu czy poprzemie. Sprawiało to wiele przyjemności ludziom przeciwnym nowej władzy. Opowiadano też sobie pocichu dowcipy o Rosjankach występujących w teatrze w nocnych koszulach, uważanych przez nie za suknie balowe, oraz wiele smutnych historii zarówno o losie aresztowanych, jak i samych obywateli ZSRR. Aresztowana np. moja koleżanka szkolna Maria Kosińska, która była w ciąży, urodziła syna w więzieniu i z największym trudem, z braku mleka i pokarmu utrzymała go przy życiu do sprawy sądowej, na której była jej teściowa i udało się jej wtedy oddać dziecko. Nie widziała go później przez 6 lat, gdyż wróciła do Polski dopiero w armię ludową. Zresztą jej nerwy nie wytrzymały tych wszystkich przeżyć i jest ciężko chora dotychczas na manię prześladowczą. Mąż naszej już wtedy przyjaciółki, p. Marii Rejmanowej, który pozostał w Warszawie, w styczniu lub w lutym usiłował przedostać się do żony do Lwowa. Aresztowany na granicy, z największym trudem zdołał, wyrzuciwszy w czasie przejazdu przez Lwów kartkę z adresem żony i z prośbą, aby ją znalazca doręczył, przebywał w obozie. Żona, komunistka i działaczka zwróciła się do prokuratora z pytaniem o męża. Odpowiedział, że go nie ma w żadnych spisach i nie wiadomo, gdzie może być. Rozżalona p. Maria powiedziała, że przecież nawet bydło jest jakoś rejestrowane i spisywane, na co prokurator spokojnie oświadczył: "Tacy, jak wasz mąż, to gorsi niż bydło, oczywiście, że gdyby był zwierzęciem, to byśmy wiedzieli, gdzie jest." Aresztowany p. Szymański przebywał w więzieniu na Brygidkach i matka moja z jego żoną chodziła tam, starając się przekazać mu jakąś ~~śwież~~ paczkę, choćby ze zmianą bielizny. Istotnie, raz zwrócono jej bieliznę i przyjęto czystą. Zwrócona bielizna była tak brudna, że widać było, że nieszczęśni więźniowie nie mieli żadnej możliwości myć się.

*co to
zaczęty?*

Kościóły nie były jeszcze zamknięte i zawsze przepełnione. Ludzie szukali tam pociechy i czasem ratunku, co jednak było bardzo trudne. *(Zupełny się już niestety nie udało, więc jedyne umiędzynarodowienie)*

Księża ^{ani} zostali nazwani "raboczyje kulta" i ściśle kontrolowani. Ale do kwietnia 1940 /później już mnie nie było po tej stronie/ mogli jeszcze jakoś działać.

Coraz trudniej było przedostać się do Generalnej Gubernii, terenów okupowanych przez Niemców. Od Ojca i brata miewaliśmy z rzadka wiadomości, niekiedy bardzo okólnymi drogami. Np. o szczęśliwym dotarciu brata do Warszawy dowiedzieliśmy się z telegramu, wysłanego z Rumunii przez kolegę brata, który tam zawędrował i dostarczył tu adres do swej rodziny. Brat napisał do niego z Warszawy, a w jakiś czas potem przyszła depesza w języku niemieckim "Matura gemacht, Broniek gesund". Wspominam o tym, ponieważ choć w zasadzie można było komunikować się z całym światem, nie wolno było w telegramach używać języka polskiego. Ja np. do mego narzeczonego w Wilnie kilkakrotnie telegrafowałam po francusku, szczególnie wtedy, kiedy uprzedzone *(o zamawianiu wyjazdów nas)* zarówno przez p. Rejmanowę, jak i przez jakiegoś urzędnika administracji, który odmówił nam paszportów, jako "liszeńcom" postanowiliśmy przedostać się jednak do rodziny w Warszawie.

Bardzo trudno było cokolwiek kupić z żywności. Okazywała się przy tym zamierzona złośliwość władz. Np. sprzedawano w niedzielę Wielkanocną cukier po kg na osobę i od świtu długie kolejki stały przed sklepami. Sytuacja wydawała nam się już nie do zniesienia, ale jeszcze miało być o wiele gorzej. W dniu 13 kwietnia, właściwie w nocy z 12 na 13 /piątek na sobotę/ rozpoczęło się wywożenie ludzi ze Lwowa na wschód. Później już opowiadano nam, że przeznaczona na wywiezienia wdowa po wyższym oficerze, kompletnie speralizowana, miała opiekunkę służącą. Oficer, który przyszedł z nakazem wywiezienia, zastanowił się nad sytuacją i udał się nawet do ^Swojej władzy po radę. Rozkaz brzmiał - wywieźć. Oficer, widząc, że kobieta sama w ogóle nie może

się ruszyć, kazał zabrać również jej pomocnicę, mimo że wcale nie figurowała na liście wywozek. Nieszczęsna sparaliżowana po trzech dniach w pociągu umarła, a jej opiekunka wróciła do kraju dopiero w 1956 r., ~~gdą~~ gdy próbowała raz przedostać się z Kazachstanu do Lwowa, została schwytała po drodze i skazana na 10 lat obozu ~~z~~ jak napisano w wyroku "za to, że usiłowała wrócić do miejsca swego poprzedniego zamieszkania". ~~Nie to przecież~~ nie jedyny wypadek tego rodzaju.

Pani Maryla Rejmanowa zawiadomiła nas, że jesteśmy "na liście", choć nie**o**bardzo jeszcze wiedziałyśmy, co to znaczy. Natomiast administrator naszej dzielnicy wezwał raz Matkę i pytał, jakie ma zamiary. Matka odpowiedziała, że chcemy jakoś przetrwać w naszym domu, mamy ogród, trochę rzeczy na sprzedaż, a ja może dostanę jakąś pracę. Nie, powiedział urzędnik, ja radzę pani gdzieś wyjechać, bo tu pani i tak nie zostanie. Wobec takiej perspektywy zaczęłyśmy myśleć o ucieczce do rodziny w Warszawie. Matka sprzedała naszą porcelanę, komplet sztucców, chyba srebrnych, ale nie jestem tego pewna, może to były zwykłe Fragety, zebrałyśmy trochę ~~p~~ pieniędzy i zaczęłyśmy szukać możliwości przejścia przez granicę. Po rozważeniu sprawy doszłyśmy do wniosku, że nie uda nam się ~~a~~bsolutnie przejść przez granicę w okolicy Przemyśla, natomiast mniej pilnowana jest granica między Zachodnią Białorusią a GG, ~~o~~ ponadto są tam powiaty czysto polskie, nawet w owych czasach w jakiś sposób traktowane odrębnie. Przyjaciele nasi, pp. Kowalczewscy, naraili nam jakiegoś przewodnika, który miał nam pomóc przejść przez granicę. W tym celu kupiłyśmy bilety kolejowe do Baranowicz, a stamtąd miałyśmy udać się do Białegostoku i już tam stosunkowo było blisko nowej granicy. Wszystkie te sprawy rozgrywały się na początku kwietnia 1940 r. i nawet przez parę dni nie nocowałyśmy w domu, gdzie zresztą było w naszym pokoju bardzo nieprzyjemnie z powodu sąsiedztwa z bardzo niesympatycznym, ^{Włostorem} zupełnie innym

niż nasi dotychczasowi lokatorzy, Seniukowowie. Gdy był w domu, nie mogliśmy np. słuchać radia, nawet po francusku, bo (polskie było silnie zagłuszone). Na szczęście był bardzo zapracowany i dużo wychodził.

Wszyscy widywani przez nas Rosjanie (zazwyczaj pojedynczo) byli zupełnie sympatyczni. Np. Kiedyś odgarniałyśmy śnieg sprzed naszego domu, co było obowiązkową pracą Matki, jako mianowanej dozorczyńi. Przechodził koło nas jakiś młody żołnierz w mundurze i po cichu, szybko powiedział do nas "Pomagaj Boh". Wygląd mieli ci żołnierze niyszczególny. Wszyscy absolutnie byli zielonkawo bladzi, ch^ydzi, raczej niewyrośnięci i ubrani w mundury z materiału w bardzo złym gatunku, jak na nasze ówczesne przyzwyczajenia do mundurów w wojsku polskim. Prawdopodobnie był to materiał z pokrzywy. Chorowali też na różne przedziwne choroby. Np. komisarz bolszewicki firmy "Gazolina" miał wszy w rzęsach na powiekach. Było to po prostu straszne i nie dziwię się, że był zawsze we wściekłym humorze.

Wszyscy żołnierze mieli stosunkowo bardzo dużo pieniędzy i wykupywali wszystko, co tylko było w sklepach. A powstały nowe sklepy komisowe oraz tzw. Bakalie-Gastronomie z luksusowymi środkami żywnościowymi. Polacy przeważnie raczej sprzedawali dotychczas powiadane rzeczy, a ponadto były towary żywnościowe luksusowe, np. kawior, ale nigdy nie można było właściwie kupić zwyczajnie kawałka mięsa, mleka czy cukru. Najbiedniejsi byli uchodźcy, którzy przybyli z zachodu Polski i mieli ogromne trudności z powrotem do swoich miejsc zamieszkania. Lwów był wtedy pełen ludzi. miasto nie mające czterystu tysięcy mieszkańców przed wojną, teraz mieściło ich milion. To też było bardzo ciasno w domach, tłoczno na ulicach i bardzo wtedy licznych kawiarniach. Ja co prawda nigdy do takich lokali nie chodziłam, ale nasi uchodźcy mi o tym opowiadali.

Miałyśmy wyjechać do Barenowicz w sobotę 13 kwietnia o godz. 14-tej. Miałyśmy zapakowany plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami

a tę ostatnią noc postanowiłyśmy przespać w domu. Wykąpałyśmy się, umyłyśmy głowy, ale całą noc nie mogłyśmy zrużyc oka. Spałyśmy razem z Matką na szerokim tapczanie w naszym pokoju i całą noc słyszałyśmy szum motorów samochodowych, jeżdżących po ulicach. Nadszedł już świt, było około 5-tej rano. Matka wstała i wyjrzała ~~do~~² przedpokoju przez szklane drzwi na ulicę i wpadła z powrotem mówiąc - przyjachali po nas. Przed furtką stała ciężarówka z żołnierzami. Na to ja wyskoczyłam z łóżka - no to uciekamy! Cały czas byłam niezłomnie przekonana, że ja na żadenⁿ Sybir nie pojedę. W naszym ogrodzie była mała cieplarnia, cała oszklona, z wyjątkiem ~~małutkiego~~ kawałka ściany tuż przy drzwiach, które były drewniane, zamykane na klucz i bardzo mocne. Schwyciłyśmy płaszcze i torebki, zapomniałam nawet zegarka i tak w rannych pantoflach wybiegłyśmy tylnymi drzwiami naszego domu do cieplarni. Tam ukucnęłyśmy pod drzwiami, które zamknęłam na klucz od wewnątrz, wyjęłam klucz z dziurki /szkoła powieści kryminalnych) i zasłoniłam ~~te~~ dziurkę klapką, w którą wtedy bywały zaopatrywane wszystkie porządne zamki. Po chwili w naszą stronę zaczęły zbliżać się jakieś ciężkie kroki. Ten ktoś najpierw wygnął z budy naszego psa Morusa, który zaczął potwornie szczekać - Morus w ogóle nienawdził Rosjan, czegoś mu się nie podobali, następnie wypuścił kury z sąsiadującego z nami kurniczka. Kury również podniosły nieprzeciętny wrzask. Wreszcie doszedł do naszych drzwi. Przestałyśmy niemal oddychać, ^a ten ktoś zaczął szarpać za klamkę, potem podszedł do oszklonej części cieplarni i zaglądał do wnętrza. Nas skulonych pod drzwiami na szczęście nie było widać. Wreszcie potrząsał jeszcze trochę drzwiami i poszedł sobie. Siedziałyśmy dalej cicho jak myszy pod miotłą. Po jakimś czasie, który wydawał mi się zresztą strasznie długi, odezwał się cichy głos mieszkającej u nas koleżanki jeszcze szkolnej mojej Matki, p. Wandy Krechowieckiej: "Jadziu, Jadziu, Jadziu..." P. Wanda wiedziała, że mamy zamiar w razie czego schować

się w tej ciemności. Po cichu powiedziała nam, że samochód odjechał, natomiast w naszym pokoju siedzi na straży jeden z żołnierzy, ale zapewne zmęczony całonocnym polowaniem na ludzi oparł głowę o stół i zasnął. Czekają na nas, ponieważ nasz sąsiad NKWDysta powiedział - one ~~napewno~~ ^{napewno} gdzieś są, kępały się wczoraj i ~~napewno~~ ^{napewno} tu nocowały. P. Wanda, indagowana przez żołnierzy powiedziała, że poszłyśmy do kolejki w sklepie, co mogło być prawdopodobne, bo żeby cośkolwiek kupić nie-raz trzeba było stanąć w kolejce już od 5-tej rano. P. Wanda wyniosła nam nasz plecak, trochę ^{ych} zostawiona w pokoju ubrań - ubrałyśmy się i okrążając dom wyszłyśmy na ulicę. Ja już nigdy do domu nie wróciłam.

Miałyśmy już przygotowany wyjazd, więc na razie trzeba było do tej godziny 14-tej coś ze sobą zrobić. ~~Matka~~ Najpierw poszłyśmy do pp. Wieleżyńskich na ul. Grochowską 12, gdzie przyjęto nas szalenie serdecznie, nakarmiono i udzielono trochę jeszcze pomocy. Następnie Matka poszła do mieszkania pp. Ostrowskich, gdzie ~~wnóstwo~~ ^{wnóstwo} osób składało swoje rzeczy, obrazy i kosztowności, ~~które~~ ^{które} ~~pewnym~~ ^{pewnym}, że temu wielkiemu profesorowi medycyny szanowanemu i znanemu na całym świecie, nic nie grozi. Rzeczywiście za czasów sowieckich nic tam się nie stało. Natomiast natychmiast po wkroczeniu Niemców miejscowi bandyci ukraińscy, doskonale zorientowani w olbrzymich rzeczywiście bogactwach zgromadzonych w tym domu, wpadli tam i zamordowali wszystkich tam znajdujących się a szukających schronienia w uważanym za pewne miejscu. Było to w końcu czerwca 1941 roku. Wśród będących tam osób zginęła również nasza przyjaciółka, p. Maryla Rejmanowa. Ja poszłam do mojej koleżanki, Litki Biskupskiej, mieszkającej w pobliżu Wysokiego Zamku. U Litki, której matka, biedna urzędniczka - wdowa nie była na razie zagrożona wywózką - zostawiłyśmy już poprzednio wspiane albumy z fotografiami z wycieczki rodziców moich do Palestyny i Egiptu oraz moje trzy śliczne paryskie suknie balowe. Gdy Matka moja pojechała w końcu 1941 r. do Lwowa, Litka oddała jej moje suknie, które zostały sprzedane w War-

szawie w czasie okupacji, gdy rodzicom moim było bardzo ciężko i trochę to pomogło w ich trudnościach żywnościowych. Natomiast trzy piękne albumy z fotografiami, które zostały u Litki a później zostały przez nią wywiezione do Jasła, spaliły się w Jaśle w czasie ofensywy, gdyż Jasło zostało jeszcze gruntowniej spalone niż Warszawa. Z domu we Lwowie w r. 1943 brat mój zabrak jeszcze z piwnicy trochę swoich książek, np. Wielką Geografię Powszechną, a także przechowane przez sąsiada z domu przy ul. Norwida 5 p. Szediwego, dwa kilimy i dwa dywany oraz makatę buczałą. Jeden z tych kilimów był utkany z proporczyków wszystkich pułków ułańskich Wojska Polskiego i jest obecnie u mego bratanka, gdyż przetrwał nawet Powstanie Warszawskie, drugi, przepiękny kilim z pracowni kilimów w Glinianach pod Lwowem również ocalał i jest u mego syna. Natomiast dwa perskie dywany spaliły się w czasie Powstania. Książki brata, wyrzucone przez nas na podwórze w czasie Powstania przez okno również przetrwały przez jesień i zimę i zostały zabrane dopiero w marcu 1945 r. właściwie wykopywane z błota. Udało się je jednak w większości odrestaurować i tylko zniszczone ich brzegi świadczą o ich losach.

Ale to wszystko było już znacznie później. Natomiast ucieczka nasza przebiegała w dalszym ciągu następująco. Na dworcu we Lwowie, gdzie miałyśmy już kupione na szczęście wcześniej bilety do Baranowicz spotkałyśmy naszego przewodnika. Był on bardzo niesympatyczny i Matka moja nie miała do niego ani odrobiny zaufania, a wręcz wstręt. ~~Nara-~~zie jednak byłyśmy zdane na jego pomoc. Tory kolejowe, którymi jechał nasz pociąg do Baranowicz były podzielone, jeden miał poprzednią, europejską szerokość i po tym poruszał się nasz pociąg, tor sąsiedni był już przerobiony na szerokość roadziecką i po nim jechały pociągi wywożące wysiedleńców do Kazachstanu. Maszyniści obu pociągów, niewątpliwie Polacy, niejednokrotnie utrzymywali obok siebie oba pociągi, tak, że miałyśmy możliwość widzenia przez nasz^e normalne okno towarowych

wagonów jadących obok nawet po kilkanaście minut. Wagony te miały tylko małe okienka u góry i przez te okienka matki wysuwały widocznie nie mogące oddychać w zatłoczonych wagonach maleńkie dzieci, które machały do nas rączkami. Słyszałyśmy również śpiewane w tych tragicznych wagonach "Jeszcze Polska nie zginęła". Był to widok wstrząsający. Matka moja zaczęła straszliwie rozpaczać, że nie miałyśmy prawa uciekać, że powinnyśmy tam jechać, z tymi wywożonymi i starać się im pomagać. Mnie się jednak zdawało, że nie [↑]wiele mogłybyśmy pomóc, co się okazało o tyle słuszne, że wywożeni byli rozdzielani małymi grupkami po kolchozach w wielkich od siebie odległościach i wątpliwe, czy mogłybyśmy się tam gdziekolwiek przydać. Jechałyśmy więc dalej w straszliwym tłoku, miałyśmy miejsce siedzące przy oknie i przez całą drogę, aż do rana dnia następnego nie było mowy, aby się stamtąd ruszyć. Pociąg był starego typu, po drugiej stronie przedziału były drzwi wejściowe i w czasie podróży przez Wołyń w dół drzwiach tych uwieszali się miejscowi chłopcy, obarczeni na plecach straszliwymi worami z ziarnem. Pamiętam, jak jęczeli "Pomyłujcie, pomóżcie", bo co chwila groziło im odpadnięcie od otwartych i kiwających się drzwi wagonu. ^KKonduktora była młoda dziewczyna, która jakoś przedostawała się od przedziału do przedziału po zewnętrznych schodkach, bo bilety były bardzo starannie kontrolowane. Na szczęście, ponieważ pociąg jechał na wschód, żadnych innych kontroli nie było. Przypuszczam również, że mimo wielkiej ilości różnego typu policji, NKWD itp. tego dnia wszyscy oni byli tak zajęci, gdyż wywózka odbywała się na terenie ~~na~~ wschodniej Polski, że na inne kontrole nie mieli już czasu. Podobno ze Lwowa wywieziono tego dnia 17.000 ludzi, a z terenów wschodnich 200.000. Oczywiście, to nie było wszystko, gdyż jak pisałam, pierwsza fala wywózki przeszła przez wsie w lutym, a następnie wywożono ludzi jeszcze do samego wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

W niedzielę rano dojechałyśmy do Baranowicz. Miałyśmy ze sobą coś
da

do jedzenia i chyba na tym dworcu piłyśmy jakąś herbatę, w każdym razie gorącą wodę. Nasz przewodnik kupił bilety i pojechaliśmy dalej do Białegostoku. Tam zaprowadził nas do jakiejś swojej widocznie meliny, gdzie była młodziutka Żydówka w maleńkim dzieckiem, a pokój był tak zatłoczony meblami, że jedno z krzeseł wisiało na ścianie. Ogrzałyśmy się tam trochę, bo choć kwiecień, było jeszcze całkiem zimno i poszłyśmy znowu z naszym przewodnikiem na stację. Tu miałyśmy zakupić bilety do miejscowości Śniadowo - leżącej już niedaleko od granicy. Pamiętam, że kasjerka, której to było wszystko jedno i zapewne nie bardzo się orientowała w małych stacyjkach kolejowych, sprzedała nam bilety do miejscowości Sadłwno, leżącej już po tamtej stronie granicy. Ale dla przejścia granicy nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, bo pociągi przecież i tak przez granicę nie chodziły. W naszym przedziale siedziało kilku żołnierzy sowieckich, którzy na każdej stacji powtarzali głośno - i jak nam się zdawało - groźnie - nazwę tej stacji. Była tam stacja Czerwony Bór, na której mieliśmy wysiąść przed Śniadowem, ale, ¹²⁰⁰przesztraszyliśmy się tych groźnych głosów "Czerwony Bór, da, Czerwony" i pojechalismy do Śniadowa. Było to już godzina trzecia nad ranem nocy z niedzieli na poniedziałek. Byłyśmy w podróży właściwie od soboty od świtu i straszliwie zmęczone, a i niemierniej przestraszone. W Śniadowie wysiedliśmy wszyscy troje z pociągu i wtedy nasz przewodnik gdzieś przepadł, a nas o kilkanaście kroków od stacji zatrzymali milicjanci. Z pewnością obowiązywała tu godzina policyjny^a, ale w jakich porach nigdy się nie dowiedziałam. Milicjanci doprowadzili nas do posterunku i tam zaprowadzili do izby, w której na resztkach słomy leżało na podłodze sześć kobiet. Trudno zresztą było coś zobaczyć, bo było prawie całkiem ciemno. Położyłyśmy się na tej podłodze, prawie bez słomy, bo dla nas już nie starczyło i ja zasnęłam natychmiast, a zdaje mi się, że i Matka również. Wydawało mi się, że wszystko już się skończyło, już nas zamknęli i teraz można tylko odpocząć.

Rano okazało się, że oprócz sześciu kobiet w naszej izbie, w sąsiedniej znajduje się 28 mężczyzn. Pilnował nas cały czas, siedząc na krześle z karabinem polski czerwony milicjant, nazywał się Marcinia, który nic złego nam nie robił, przynosił tylko czarny chleb, który dostawałyśmy do jedzenia. Oprócz tego można było sobie kupić jajka na twardo i bardzo słodką herbatę z karmelu z dużą ilością cukru. Matka moja w ogóle nie mogła jeść i jej stan był rozpaczliwy. Zaczęto nas przesłuchiwać. Uporczywie twierdziłyśmy, że jesteśmy ze strony niemieckiej i jako "bieżenki" chcemy wracać do domu. /Ja jestem urodzona w Piotrkowie Trybunalskim, więc nic się temu twierdzeniu nie przeciwstawiąło/. Żabrano nam nasz plecak, miałyśmy jednak trochę rzeczy w jakiejś torbie, no i trochę pieniędzy. Wszyscy nasi współlokatorzy twierdzili, że przechodzą przez granicę do Rosji z Niemiec, bo krążyła jeszcze opinia, że w takim wypadku Rosjanie przerzucają z powrotem do okupacji niemieckiej. /To się szczęśliwie przydarzyło jeszcze memu bratu, ale od 1 lutego wszystkich zabierano normalnie do Rosji, nie bacząc na ich twierdzenia/. Było kilka Żydówek, które chciały przejść do Warszawy. Dziwiło nas to, ale one twierdziły, że wolą już Niemców od Rosjan, bo Niemcy to przecież kulturalny europejski naród, a tu nie da się żyć. /Był to dopiero kwiecień 1940 roku i Żydzi nie byli zorientowani w grożącym im losie^z ze strony Niemców./ Dwie izby zajęte przez aresztantów były bardzo brudne, słoma na podłodze wytarta i pełna wszy. Były to przeważnie wszy odzieżowe. Do ubikacji wypuszczano nas raz dziennie, rano. Był to mały wiejski wychodek na końcu sielskiego, obudowanego stodołą i oborą podwórka. Uciec stamtąd było niesłychanie łatwo, ale nie wiadomo było, co by dalej można zrobić bez żadnych już pieniędzy i rzeczy. Oprócz Marciniaka, który siedział dosyć ponuro w naszej izbie z karabinem w ręku, aresztem zajmowało się dwóch Rosjan. Jeden z nich prowadził z moją Matką, która doskońle mówiła po rosyjsku, długie, bardzo sympatyczne rozmowy. Powiedział jej m.in., że jest wnukiem Polaka, zesłanego na Sybir po

powstaniu 1863 roku. Do Matki mówił "Jadwiga Osipowna" /Ojciec Matki miał na imię Józef/, i gdy zrobiła się ładna, cieplejsza pogoda po kilku dniach, wypuszczał nas obie na podwórze, mówiąc "Oddychajcie, Jadwiga Osipowna, oddychajcie". Drugi z naszych strażników był niezwykle piękny. Miał bujną, wręcz olbrzymią ciemną czuprynę i wspaniałe szafirowe oczy. Był jednak zupełnie jakoś zwariowany i co parę godzin wlatywał do naszych izb i wrzeszczał w niezrozumiały dla mnie sposób. Prawdopodobnie wymyślał nam od wrogów czy coś w tym rodzaju. W każdym razie żadnych skutków to nie przynosiło.

Trzeciego dnia naszego pobytu w tym areszcie wprowadzono do nas parę małżeńską z maleńkim, parotygodniowym dzieciątkiem. Okazało się, że jest to rodzina gajowego z okolicznych lasów; chcieli oni przedostać się pod okupację niemiecką, gdyż wszyscy gajowi i leśniczy byli bezwzględnie wywożeni, jako znający znakomicie teren i najłatwiej mogący przejść lub ^{ow}przeprowadzać przez granicę. Kobieta drżała i płakała jeszcze chora po porodzie. Dla dzieciątka ten lepszy bolszewik kazał przynieść mały, kulawy stolik, na którym zostało położone, aby nie leżało na ziemi. Dałyśmy tej kobiecie moją koszulę nocną, bo nie miała nawet żadnych pieluszek ^{dla} na maleństwo. Byli z nami jednak bardzo krótko, bo ~~za~~ przyjechała po nich ciężarówka i pewnie powieźli ich dalej do Rosji. Siedziała z nami również pewna rodzina ze Śląska, matka, ojciec i dziesięcioletni synek. Kobieta ta opowiadała nam, że ^z ~~raz~~ ^{raz} po zajęciu przez Rosjan terenów aż do Wisły, skąd cofnęli się na obecną granicę dopiero po 28 października, oboje z mężem, który był górnikiem na Śląsku, postanowili przenieść się do jakiegoś zagłębia węglowego w Rosji. Nie ma tam bezrobocia, myślała ^{wy}, mówiła nam kobieta, syna wykształcę. Zabraliśmy stosunkowo dużo rzeczy, pościel, nawet firanki. W Donbasie rzeczywiście przyjęto ich i nawet dostali jakieś pomieszczenie. Po krótkim czasie zrozumieli, że życie tu jest znacznie cięższe niż mogli sobie wyobrażać, a ponadto byli przez miejscowych

bardzo źle traktowani. "Co wy za robotnicy, firanki macie, wy burżuje" - mówiono do nich. Postanowili więc wracać do siebie, ale zkapani po drodze znaleźli się z nami razem w areszcie. Była też z nami żona oficera z Białegostoku z córką, bardzo dzielną dziewczynką, najwyraźniej harcerką i wątkym, chorowitym młodszym synem. Bali się oni bardzo i nawet pani ta bała się z nami rozmawiać. My byliśmy w stanie bardzo wielkiej rozpacz, nie zwracaliśmy uwagi na nasze rzeczy, np. Matka zgubiła w skórze piękną broszkę z wielkim ametystem, która była jednym z bardzo nielicznych jej klejnotów i wcaleśmy jej nie szukały. Tak mijają dni aż do soboty 20 kwietnia. I wtedy zdarzył się chyba cud. Ten lepszy bolszewik, zaprzyjaźniony z Matką, wszedł około 10 rano do aresztu i powiedział spokojnie "Paszli wszyscy won". Po prostu wygnał nas na wolność. Oddał nam też nasz plecak z rzeczami i chciał nawet Matce wpychać jeszcze jakieś inne, cudze rzeczy, ale tych oczywiście nie chciałyśmy zabrać. Kazał nam wszystkim wracać tam, skąd przyszliśmy, nam np. do Lwowa, bo wiedział, że przyjechałyśmy ze Lwowa. Matka moja była w stanie takiego wyczerpania, że diagnoza mnie, aby zaraz iść na stację i jechać do Lwowa, ale ja postanowiłam sobie wtedy, że do Lwowa nigdy i za nic nie wrócę - i jak dotąd dotrzymałam słowa. Ponieważ widziałam, że żadne rozsądne argumenty do Matki nie przemówią, zaproponowałam, żebyśmy wstąpiły do kościoła, który był tuż obok na ryneczku i pomodliły się. Na to się zgodziła. Później zaproponowałam - chodźmy jeszcze na plebanie i dajmy na uszę. I na to uzyskałam zgodę. Na plebanii wyszedł do nas starszy, rubaszny proboszcz i gdy Matka wręczała mu jakąś ogromną na owe czasy sumę 30 czerwońców na uszę, zapytał, a na jaką intencję. "Że nas Pan Bóg z więzienia wyzwolił" - odpowiedziałyśmy zgodnie. "A za to to siedziacie?" - zapytał. "Bo chciałyśmy przejść granicę" - "A teraz już nie chcecie? - "Chcemy, chcemy, krzyknęłam, tylko Mamusia jakoś się przestraszyła". - To zostańcie u mnie, jakoś się poradzi - powiedział

~~xxxxxxx~~ ten poczciwy ksiądz. Zaraz też dano nam w kuchni jeść - pa-
miętam, był to wspaniały indyk ze śliwkami. Pozwolono nam się trochę
umyć i mogliśmy odpocząć w takim przyparafialnym domu. Miałyśmy tam
do spania raczej wąską kozetkę, ale i tak byłyśmy szczęśliwe niewy-
mownie. Niestety, ja nabawiłam się już wszy i ~~narazie~~ nie było możno-
ści wytepienia ich. Niestety zapomniałam, jak się nazywał ten pro-
boszcz, ^(na imię miał Anton) (wien, że był proboszczem parafii Śniadowo, zaś wikarym w tym
czasie był ksiądz ~~Kin~~ Kin. Pogoda była już wiosenna i codziennie przez
kilka dni chodziłyśmy na dalekie spacery z księdzem wikarym, i jakoś
nikt się nami nie interesował. Ksiądz proboszcz przyprowadził nam
przewodnika, który już był kilka razy przez granicę w Warszawie i po-
djął się i nas przeprowadzić. Nazywał się Stasiak Borawski i za prze-
prowadzenie nas dostał złote spinki Ojca, które miałyśmy jeszcze ze
sobą, a w Warszawie, po przejściu, jeszcze jakieś pieniądze od Ojca.
Aby dojechać do granicy jedna z tamtejszych mieszkanek, p. Wasilewska,
za poręką księdza, ^{i cała stota transzolekta drutów która została, jak mówili, odda} wzięła przepustkę na dojazd do swojej ziemi w po-
bliżu granicy dla siebie i swoich dwóch córek i dowiozła nas we wto-
rek 24 kwietnia późnym popołudniem w pobliże granicy. Tam spotkaliśmy
się ze Staśkiem Borawskim i jeszcze jakąś dziewczyną miejscową, która
też chciała pójść po jakieś zakupy do Warszawy, bo oni później wracali
z towarami. Granica była już gęsto odrutowana, a co gorsza, na 800
metrów od granicy sięgnął się pas zoranej ziemi, na której widać było
wszystkie ślady. Rosjanie chodzili z psami i rzucali co chwila wiszą-
ce na spadochronach ^{balony świetlne} ~~światła~~ resztyśkowe. Stasiak znał bardzo dobrze
teren i do samej ^g granicy prowadził nas po bagnach, na których ^h psy nie
mogły schwytać śladu. Noc była bardzo ciemna, gdyż księżyc wschodził
dopiero nad ranem. W chwilach, gdy zapalały się nad nami światła,
padaliśmy wszyscy plackiem na ziemię. Szłam boso, co było chyba w tym
bagnie łatwiejsze niż wyciąganie oblepionych błotem bucików. Wyszliś-
my po zachodzie słońca, ok. godz. 20-⁷te, a około 4 nad ranem, pada-
jąc i wlokąc się niesłychanie wolno doszliśmy do granicznych drutów

7 po wyjeździe)

kolczastych. Było ^{to} nad rzeczką Órz, przez którą przeprawiliśmy się, jak przez głębszy bród. Weszłam do tej wody i przeszłam przez nią, ale do tej pory nie pamiętam, czy była zimna. Druty nie były jeszcze na szczęście naelektryzowane i udało się nam przecisnąć pod nimi, czokając się po ziemi. Paręset metrów dalej były jeszcze druty, oznaczające początek terenu niemieckiego, ale były gładkie i luźne, przejście przez nie nie sprawiło nam najmniejszych trudności. Szliśmy jeszcze dość długo pod wschodzącym księżycem i doszliśmy do pierwszych zabudowań wioski Malichy jeszcze przed samym świtaniem. Zrobiło się bardzo zimno, Nasz przewodnik, wzięwszy nasz adres w Warszawie ^{nielubiana} ~~znikł~~ gdzieś / ~~z dziecizną~~ a my zapukałyśmy do najbliższej chaty. Gospođyni nie spała już, ale powiedziała, że przed dnem do chaty nie wpuści. Tutaj też obowiązywała godzina policyjna i panował strach. Puściła ~~na~~ nas do pustej stodoły, gdzie nie było już ani odrobiny siana czy słomy i wtedy dopiero zrobiło mi się zimno. Drugi raz w życiu zmarzłam tak dopiero w czasie Powstania Warszawskiego po śmierci jednego z przyjaciół. Trzęsłam się cała i za nic w świecie nie mogłam się rozgrzać, choć tuliłyśmy się do siebie z Matką. Ale i ta godzina do dnia minęła, a kobieta z chaty wpuściła nas i dała nam prawdziwego gorącego mleka. Oczyszciliśmy się trochę, wysuszyły i poszły cztery kilometry dalej na stację kolejową Jelonki, gdzie za posiadane jeszcze dawne polskie złote kupiłyśmy bilety i pojechałyśmy do Warszawy.

Tak się zakończyła nasza ucieczka.